

Michał Głowiński

Roman Zimand (16 listopada 1926 - 6 kwietnia 1992)

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 84/1, 263-269

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

V. K R O N I K A

Z M A R L I

Pamiętnik Literacki LXXXIV, 1993, z. 1
PL ISSN 0031-0514

ROMAN ZIMAND

(16 listopada 1926 – 6 kwietnia 1992)

Był historykiem literatury. Ale nie tylko. Także jej teoretykiem i socjologiem. Nawet po tym uzupełnieniu lista dziedzin, jakimi się twórczo interesował, nie jest pełna. W różnych okresach swojego życia zajmował się publicystyką. Był tłumaczem, przekładał z trzech języków – francuskiego, rosyjskiego i angielskiego. Ale należał także do ludzi czynu, którym praktyka polityczna nie była obca. Bibliografia jego prac stanowi najlepsze świadectwo rozległości zainteresowań, różnorodności poszukiwań, zakresu pytań, jakie stawiał literaturze, kulturze, historii, ale także – sobie. Ten wątek pytań zadawanych sobie jest w jego przypadku szczególnie ważny. Biografię miał skomplikowaną, a na ideowym szlaku, jaki przeszedł w ciągu 66 lat życia, były przystanki o różnym charakterze. I to właśnie stało się wielkim problemem Romana Zimanda – moralnym, intelektualnym, w najściślejszym tego słowa znaczeniu osobistym.

Urodził się we Lwowie w zamożnej mieszczańskiej rodzinie żydowskiej. Ze Lwowa wywieziony został wraz z rodziną do Kazachstanu wiosną 1940, tam przebywał do 1944 roku. Nie lubił mówić o sobie, nie wspominał swoich doświadczeń, był powściągliwy. Wydaje się, że dla całej jego biografii jeden epizod miał znaczenie szczególne. Zgłosił się do powstającej w ZSRR armii Andersa i w niej przebywał 4 miesiące, w końcu jednak nie został przyjęty. Było to doświadczenie szczególnie bolesne, spotkał się tam bowiem z postawami antysemitycznymi¹. Wspominam o tym, bo wydarzenia te tłumaczą – jak sądzę – postawę Zimanda w latach następnych: wrócił do kraju jako entuzjastyczny wyznawca komunizmu. Ten indywidualny *casus* jest potwierdzeniem szerszej prawidłowości: polskich Żydów wpychał w komunizm rodzimy antysemityzm.

Pierwsze 10-lecie powojenne to w tym przypadku życie działacza i – chciałoby się powiedzieć – adepta komunizmu. Już w r. 1945 wstępuje we Wrocławiu do PPR, pisuje w partyjnych gazetach, a po ukończeniu socjologii na Uniwersytecie Warszawskim w r. 1952 (praca magisterska: *Antoni Sygietyński jako krytyk malarstwa*) uzupełnia studia w Instytucie Nauk Społecznych przy KC PZPR, a w latach 1950–1951 pracuje jako asystent Adama Schaffa w katedrze materializmu dialektycznego i historycznego. Mając przed oczyma

¹ Sprawę tę w sposób wielostronny omawia K. Kersten w rozprawie *Problem Żydów w Polskich Siłach Zbrojnych w ZSRR i na Wschodzie w kontekście stosunków polsko-żydowskich w czasie II wojny światowej*. W: *Polacy – Żydzi – komunizm. Anatomia półprawd*. 1939–68. Warszawa 1992.

takie fakty, doznaje się wrażenia, że chodzi o biografię człowieka, którego jedynym przeznaczeniem była kariera pracownika aparatu partyjnego. Ale ten komunistyczny epizod gwałtownie się skończył. W okresie październikowym należy Zimand do tych młodych intelektualistów komunistycznych, którzy zdecydowanie opowiadają się za odwilżą. Staje się rewizjonistą. W jego przypadku – tak jak w przypadku wielu wybitnych postaci tego pokolenia (z Leszkiem Kołakowskim włącznie) – tzw. rewizjonizm nie był formą kontynuowania komunizmu w złagodzonej formie, stanowił pierwsze stadium odchodzenia od niego. Tutaj proces ten był gwałtowny i trwał krótko. Usunięty z PZPR wkrótce po Październiku, komunizm porzucił ostatecznie. Ale ten fragment biografii miał dla niego znaczenie szczególne. Trafnie pisze Stefan Niesiołowski:

Ten stalinowski rozdział ciążył nad nim stale, chociaż komunizm odrzucił definitywnie już w roku 1957, i to na tyle ostro, że sam towarzysz Wiesław uznał za konieczne potępienie Romana Zimanda za rewizjonizm i „zdradę”. Nie dobudowywał żadnej ideologii do swoich błędów. Przeciwnie, podczas długich dyskusji internowanych w Jaworzu powtarzał zawsze, iż nie ma właściwie nic na swoje usprawiedliwienie [...]. Zaimponował mi szczególnie, gdy w trakcie zacieklej dyskusji o emigracji powiedział: ja nigdy z Polski nie wyjadę, gdyż jestem współodpowiedzialny za los, jaki zgotowano narodowi, to jest nie *fair*: najpierw budować komunizm, a następnie zostawić wszystko i samemu wyjechać, trzeba najpierw ten komunizm zburzyć².

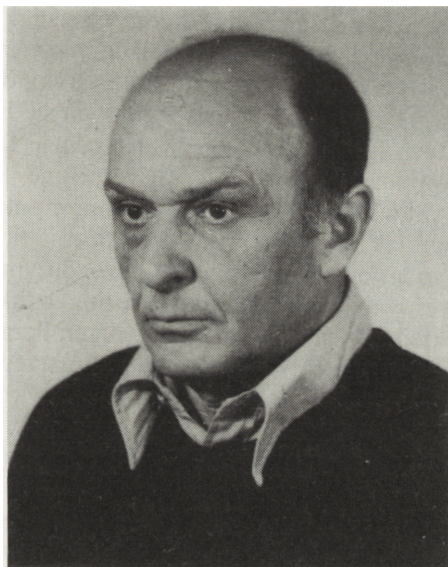
Młodzieńczy akces do komunizmu stał się dla niego nieustannym problemem moralnym i poznawczym, wciąż się zastanawiał, jak to było możliwe, że przystał do ruchu nie ukrywającego przecież swych totalitarnych, jakże nieludzkich właściwości. Nie tworzył mitologii, która miałaby upiększać wybory dokonane za młodu, patrzył na swoją przeszłość z okrutną, bezlitosną jasnością – i właśnie zadawał sobie pytania. I niczego nie przemilczał. Powiedział w jakiejś rozmowie: trzeba umieć godnie znosić swoją biografię. Wskazaniu temu pozostał wierny do dni swych ostatnich. Zawsze o nim pamiętał.

Także wówczas, gdy włączył się w działalność opozycji demokratycznej, a uczynił to wcześniej, przede wszystkim jako publicysta. Współpracował z wieloma pismami drugiego obiegu, a także z prasą emigracyjną (w tym z „Kulturą”) – posługiwał się m.in. pseudonimem: Leopolda. Założył i redagował kwartalnik „Almanach Humanistyczny”, który miał być niezależnym czasopiśmie naukowym, szczególnie dużo uwagi poświęcającym dziedzinie zaniedbanej, a mianowicie recenzjom.

Pracował w Instytucie Badań Literackich od marca 1958. Jego mocna pozycja intelektualna w pewnej części społeczności polonistycznej znalazła się w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do pozycji oficjalnej. Komuniści uznali go za wroga i tak biegiem rzeczy kierowali, by wegetował na marginesie życia naukowego. Poddawali go wielorakim szykanom. W różnych okresach uniemożliwiano mu pełnienie jakichkolwiek funkcji, nakładano na jego nazwisko tzw. zapis cenzuralny, co skazywało go na milczenie, odmawiano paszportu. Znosił te szykany dzielnie, a dolegliwością szczególnie przykrą był zakaz publikowania, co w sposób widoczny zwalniało tempo jego pracy naukowej.

² S. Niesiołowski, *Roman*. „Życie Warszawy” 1992, nr 91, z 16 kwietnia.

Został internowany zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego (przebywał w obozie w Jaworzu do końca kwietnia 1982). W roku 1985 ówczesny dyrektor Instytutu, Witold Nawrocki, zabiegał o wyrzucenie Zimanda z pracy pod pretekstem, że jest pracownikiem nieproduktywnym, gdyż całą swą energię wydatkuje na zwalczanie Polski Ludowej w publikacjach ogłaszanych w wydawnictwach podziemnych i emigracyjnych. Wielokrotnie torpedowano starania o nadanie mu tytułu profesora. Uzyskał go z wielkim opóźnieniem, a o nominacji dowiedział się już w szpitalu pod koniec stycznia 1992.



Roman Zimand

W przeciwieństwie do tego, co głosił ów partyjny urzędnik, Roman Zimand był produktywnym i twórczym pracownikiem naukowym, świadczy o tym obfita spuścizna, jaka po nim pozostała — książki, artykuły, polemiki, tłumaczenia. By go scharakteryzować, można się odwołać do pewnego rozróżnienia. Wydaje mi się, że istnieją dwa kontrastowe typy uczonych. Grupę pierwszą tworzą znakomici specjaliści w jednej dziedzinie lub w kilku, ale ściśle określonych i z sobą powiązanych; w swojej domenie wiedzą oni wszystko, wybranej problematyce pozostają wierni przez długie lata, a niekiedy poświęcają jej całe swoje zawodowe życie. Typ drugi jest zasadniczo różny; reprezentują go badacze niecierpliwi, których postawa charakteryzowana poprzednio raczej by nudziła. Szukają oni wciąż nowych tematów i problemów, nie zabiegają o zbudowanie wiedzy pełnej i w miarę ostatecznej, ich niekwestionowaną domeną są próby. Gdy je przeprowadzą, wycofują się z danego pola, pozostawiając jego uprawę specjalistom. Roman Zimand był konsekwentnym, a może nawet skrajnym, przedstawicielem typu drugiego. Był zaprzeczeniem specjalisty w proponowanym tu znaczeniu tego słowa.

Oczywiście, były pewne rejony, którymi zajmował się systematycznie i konsekwentnie przez lata. Wymieniłbym tu zwłaszcza historię kultury przełomu w. XIX i XX, bynajmniej nie ograniczoną do literatury młodopolskiej, oraz pisarstwo autobiograficzne w różnych jego postaciach. Niekiedy dwie te podstawowe sfery zainteresowań się łączyły: w wyniku takiego zespolenia powstała ostatnia książka *Diarysta Stefan Ż.* (1990), najobszerniejsze, jak dotąd, i najwnikliwsze studium o *Dziennikach Żeromskiego*. Poza tym była jednak ogromna mnogość tematów i problemów. Wymieńmy choćby niektóre: powieść kryminalna i teoria nacjonalizmu, gramatyka generatywna Chomsky'ego i zabójstwo Marcelego Nowotki, opowiadania z łagrów i obozów i stosunki polsko-żydowskie, opisy podróży do Sowietów i nowe gatunki pisarstwa dokumentarnego, dzienniki Adama Czerniakowa i *Wspomnienia z domu umarłych Dostojewskiego*³. To, rzecz jasna, nie wszystko, nawet gdy się nie uwzględni obfitej w pewnych okresach publicystyki, dotyczącej aktualności. Ponadto Zimand we wcześniejszym okresie zajmował się kompetentnie filmem, w latach sześćdziesiątych (do r. 1968) pisywał recenzje filmowe w tygodniku „Argumenty” (sygnował je pseudonimem: Hivernd).

A jak scharakteryzować jego styl uprawiania nauki o literaturze? To pewne, że oddział nań fakt, iż nie był z wykształcenia filologiem — ukończył studia socjologiczne (socjologiem zresztą był szczególnie, gdyż już w czasach uniwersyteckich interesował się przede wszystkim sztuką i literaturą). Oddział dwojako. Niekiedy — nie można tego przemilczać — negatywnie, co wyrażało się w pewnych brakach warsztatowych dostrzegalnych w niektórych pracach (mówiłbym tu o swojego rodzaju niepanowaniu nad narzędziami stosowanymi w dyscyplinie). Miał jednak przede wszystkim wpływ pozytywny, chronił przed różnego rodzaju rutynami, sprzyjał świeżości spojrzenia, a także niebanalnemu włączaniu w pole widzenia kontekstów społecznych czy społeczno-historycznych. Ta swoiście ograniczona „nieprofesjonalność” harmonizowała z właściwościami jego pisarstwa. Unikał pedantycznych wywodów, pisał w stylu swobodnego eseju, nie stronił od ujęć literackich. Ów swobodny esej nie był jednak przeciwstawieniem wypowiedzi zdyscyplinowanej, przeciwnie, stał się jedną z jej postaci.

A jak scharakteryzować jego prace z metodologicznego punktu widzenia? Startował, jak większość przedstawicieli formacji, którą reprezentował, pod znakiem ortodoksyjnego marksizmu stalinowskiego. Ten wczesny etap trwał krótko i nie zapisał się wybitniejszymi pracami, nie ma więc powodu, by się nim zajmować. Miał on jednak wielorakie znaczenie dla ewolucji intelektualnej Zimanda. Pozostawił niesmak i wywołał różnego rodzaju idiosynkrazje, to pewne. Ale miał też inne konsekwencje. Wierność marksizmowi nie była dla niego problemem, odkąd rozszedł się z partią komunistyczną, jednakże marksistowska edukacja, jakiej poddał się w młodości, nie spłynęła po nim jak woda po gęsi. Świadczą o tym dwie pierwsze książki, do dzisiaj zresztą

³ Trzeba tu jeszcze dorzucić, że w ostatnich latach swojego życia w sposób systematyczny i wielostronny interesował się *Biblią*. Czytał na ten temat ogromnie dużo, a jego wiedza w tej dziedzinie była wielka. Zdawał sobie jednak sprawę, że bibliistyka jest tak wyspecjalizowaną i bogatą dziedziną nauki, że nie sposób badań zaczynać w wieku już niemłodym. Fascynacja ta miała też inny wymiar: była powrotem do kultury, z której się wywodził.

zachowujące wartość: *Trzy studia o Boyu* (1961, pierwotnie rozprawa doktorska), a przede wszystkim *Dekadentyzm warszawski* (1964, praca habilitacyjna).

To nowatorskie studium jest udaną próbą nowego spojrzenia na pierwszy etap kształtowania się polskiego modernizmu, rewidującą zasiedziałe w historii literatury opinie. Na swój sposób jest to jednak książka do marksizmu zbliżona; rozpatrywana w tych kategoriach, świadczy ona – być może – o tym, iż w Polsce początku lat sześćdziesiątych wywód skłaniający się ku ujęciom socjologicznym i bliski historii idei nie mógł się znaleźć poza wpływami marksizmu. Jest to przykład dyskursu wprawdzie marksizującego, ale uwolnionego od wszelkich naleciałości aktualizujących i założeń politycznych, by nie wspominać już o „partyjności”. Marksizm ów zbliżał się do tego, który uprawiali na Zachodzie uczeni nie będący komunistami. Domyślam się, iż Zimand nie zdawał sobie sprawy, że wciąż znajduje się w orbicie jego oddziaływania. Trzeba tu dodać, że takie usytuowanie łączy go z grupą wybitnych uczonych, również uciekinierów z marksizmu, silnie oddziałujących na życie intelektualne w latach między Październikiem a Marcem, tworzących tzw. warszawską szkołę historii idei.

Z biegiem lat naleciałości marksistowskie ustępowały. I w tym także biografia intelektualna Zimanda jest charakterystyczna dla formacji, którą w mniejszym lub większym stopniu reprezentował. W przeciwieństwie jednak do ewolucji niektórych swych rówieśników i dawnych towarzyszy nie zwrócił się ku hermeneutyce, ta pozostała mu obca. Nie zaniechał podejścia socjologicznego, czy – w pewnych przypadkach – socjologiczno-historycznego. I zbliżał się w tym do tej jego odmiany, która właściwa była strukturalizmowi. Trudno powiedzieć, że Zimand stał się jego zwolennikiem czy reprezentantem, na swój sposób jednak do niego nawiązywał. Wyraźne to było zwłaszcza wówczas, gdy podejmował analizę tekstu. Niekoniecznie tekstu literackiego. Myślę tu przede wszystkim o jego nowatorskiej i oryginalnej książce poświęconej dziennikom Adama Czerniakowa („*W nocy od 12 do 5 rano nie spałem*”. *Dziennik Adama Czerniakowa – próba lektury*, wyd. paryskie: 1979, wyd. krajowe: 1982). Niezwykłość jej polega nie tylko na tym, że przedmiotem analizy jest przekaz historyczny o wielkiej doniosłości dokumentarnej (i zarazem wstrząsające ludzkie świadectwo), wynika ona także z tego, że badacz wykorzystał w jego analizie swoje doświadczenie historyka literatury, bo do opisu tekstu nieliterackiego zastosował te narzędzia, które wypracowano w interpretacji dzieła literackiego.

Zimand nie pisał prac obszernych. Jego książki monograficzne – o warszawskim dekadentyzmie, Czerniakowie, dziennikach Żeromskiego – mają niewielką objętość. Właściwą formą jego wypowiedzi był esej historycznoliteracki, w wielu przypadkach stanowiący w pierwotnej wersji referat wygłoszony na takiej czy innej sesji naukowej (swe mniejsze prace zbierał w tomach zatytułowanych *Szkice* i kolejno numerował: tom zatytułowany *Szkice drugie* do dzisiaj się nie ukazał). Kiedy mówię tu o eseju, myślę nie tylko o jego właściwościach gatunkowych, myślę także o etymologicznym znaczeniu słowa. Prace Zimanda to rzeczywiście były – słowo to musi paść ponownie – próby, próby nieustanne, i to zarówno wtedy, gdy dotyczyły rzeczy w nauce od dawna omawianych, np. Dostojewskiego relacji z zesłania, jak wtedy, gdy przymierzały się do rzeczy nowych, ani w pracach naukowych, ani w krytyce literackiej nie omawianych, np. gatunków dokumentarnych powstałych z zapisu magnetofonowego, różnego rodzaju wywiadów-rzek itp. (Zimand poświęcił temu nowemu gatunkowi pisarstwa ciekawy referat wygłoszony w drugiej połowie lat

osiemdziesiątych na zebraniu Sekcji Krytyki Literackiej Towarzystwa im. A. Mickiewicza, zamieszczony w *Szkicach czwartych*). Próby owe miały z reguły wysokiej klasy szlif literacki. Był bowiem Zimand autorem o indywidualnym stylu, konstruującym swoje szkice w sposób niepowtarzalny. Charakteryzowały się one przejrzystością i wyraźnie sformułowanymi tezami, a ich cechą wyróżniającą było m.in. eksponowanie podmiotu autorskiego, który nie ukrywał się poza rygorystycznymi konstrukcjami logicznymi, jego głos miał być słyszalny. Swoją rolę grały też żywioły polemiczne: sytuowanie się wobec mniej lub bardziej wyraźnego przeciwnika pozwalało na dramatyzowanie dyskursu i dobitniejsze przedstawianie własnych racji.

Należy dorzucić, że poza pracami wchodzącymi w obręb szeroko pojętej nauki o literaturze Roman Zimand zajmował się przygodnie krytyką literacką, a systematycznie w różnych okresach życia — publicystyką polityczną. Warto tu wszakże od razu zaznaczyć, że umiał on oddzielić swoje piśmarstwo naukowe od publicystyki, nigdy nie podporządkowywał go doraźnym celom, był świadom, że gdyby się tak działo, mielibyśmy do czynienia zarówno z marną nauką, jak z kiepską publicystyką. Publicystyką właśnie zajmował się intensywnie w ostatnich latach życia, czemu sprzyjał najpierw rozwój prasy drugiego obiegu (był m.in. stałym felietonistą miesięcznika „Kultura Niezależna”), a potem — istnienie już prasy wolnej, nie poddanej cenzurze. Uprawiał tak felieton, jak komentarz polityczny w ścisłym sensie. We wszystkim, co robił, dbał o niezależność. Był — by tak powiedzieć — publicystą osobnym, nie wiążącym się z żadną z powstających partii. I często wygłaszał poglądy niepopularne, nie mające szans na poklask. Bo do pewnych spraw powracał wielokrotnie, były bowiem dla niego ważne także w wymiarze osobistym. Myślę tu przede wszystkim o krytyce postaw polskiej inteligencji, zbyt uległej — według Zimanda — wobec komunizmu i zbyt długo od niego zależnej. Jak się zdaje, w rozwijaniu tego wątku dochodziły do głosu w sposób dramatyczny problemy i zawężenia osobiste. To tutaj właśnie w pośredniej formie wyrażała się bolesna i wciąż żywa sprawa wejścia w komunizm, które było jego doświadczeniem aż do ostateczności realnym, ale także w jakiś sposób traumatycznym.

We wspomnieniu o Romanie Zimandzie nie można nie powiedzieć także o tym, że był mistrzem słowa mówionego. Ta rzadka i trudna umiejętność ujawniała się w jego dość licznych w ostatnim 10-leciu wystąpieniach radiowych: w drugiej połowie lat osiemdziesiątych brał czasem udział w audycjach Wolnej Europy, a w ostatnich miesiącach życia miał stały cotygodniowy felieton w III programie Polskiego Radia, komentujący bieżące wydarzenia (jak mi powiedziała redaktorka tego programu, mówił na żywo do mikrofonu bez pomocy kartki). Kiedy jednak wspominam tu o słowie mówionym, to myślę przede wszystkim o czym innym. Zimand był znakomitym dyskutantem. Lubił zabierać głos w dyskusji, robił to często i efektownie, jego wypowiedzi, zwykle niekonwencjonalne, były chętnie słuchane. Stanowiły one w wielu wypadkach głos zdrowego rozsądku, prowadzącego do wymiernych realiów problematykę omawianą w danym referacie. Jako dyskutant umiał wejść w świat autora, z którym polemizował, potrafił też w trybie improwizacyjnym reagować na sprawy i poglądy, z którymi poprzednio się nie stykał. W tej trudnej i bynajmniej nieczęstej umiejętności wyrażała się żywość jego umysłu.

Roman Zimand był aktywnym i dynamicznym uczestnikiem życia nauko-

wego, należał niewątpliwie do najbardziej znanych i najbardziej widocznych postaci, pracujących w Instytucie Badań Literackich, choć nie zajmował w nim nigdy żadnego poważniejszego stanowiska. Jego uczestnictwo nie miało charakteru instytucjonalnego, nie wyrażało się w działaniach organizacyjnych, choć i w tej dziedzinie, gdy mógł, ujawniał swoje talenty (myślę tutaj o prowadzonym przez niego ogólnopolskim seminarium dotyczącym Młodej Polski, a także o pracy w Sekcji Krytyki Literackiej, która powstała w latach osiemdziesiątych przy Towarzystwie Literackim im. A. Mickiewicza). Działo się tak z powodów, których łatwo się domyślać: nieustannie był spychany na margines, w różnych czasach z różną intensywnością, w zasadzie nie było w PRL takiego okresu, w jakim mógłby funkcjonować swobodnie. Okoliczności nie pozwoliły mu sprawdzić się w dydaktyce. Dopiero w roku akademickim 1990/91 prowadził na Uniwersytecie Warszawskim na zaproszenie studentów seminarium poświęcone dziejom polskiego socrealizmu (był to rodzaj pracy społecznej, nawet symbolicznie nie opłacanej).

Roman Zimand, ktoś w rodzaju wiecznego docenta, gdy inni – młodszy i o mniej wartościowym dorobku – szli w profesory, odgrywał dużą, choć nieformalną, rolę w środowisku polonistycznym. Muszę powtórzyć to, co napisałem w krótkim wspomnieniu opublikowanym tuż po jego śmierci: należał do tych zawsze niezbyt licznych osób, które ożywiają swą wewnętrzną dynamiką i doskonałymi pomysłami środowisko, w którym się obracają⁴. W tym wypadku środowisko na ogół potrafiło to docenić.

Michał Głowiński

⁴ M. Głowiński, *Roman Zimand (1926–1992)*. „Gazeta Wyborcza” 1992, nr 86, z 10 kwietnia.